

starala się wymusić zainteresowanie. Majtała nogami, demonstrując błyszczące buciki, a upominanie się o ukwieconą kokardę w rzeczywistości było informacją, że chodzi o kwiaty na najpiękniejszej ze wszystkich sukience. Tego dnia rodzice nie reagowali na jej kaprysy; prawdę mówiąc, nikt nie zwracał na nią uwagi. Mama czekała na ciotkę i niecierpliwie zerkała w okno, ojciec kręcił się nerwowo po mieszkaniu, raz szukając czegoś w kuchni, raz w pokoju, a czasami z jakiegoś powodu spoglądał na daszek przykrywający ganek. Staliśmy z Leszkiem obok stołu, popatrywaliśmy na siebie przekonani, że coś się musi wydarzyć. Tuż przed wyjściem ojciec bez powodu wezwał nas do pokoju obok. Z jakiegoś względu właśnie tam poinformował, że po mszy pójdą z matką do księdza, prosząc równocześnie z bardzo skupionym wyrazem twarzy, byśmy w czasie ich nieobecności zaopiekowali się Malutką.

Podświadomie wyczuwaliśmy, że chodzi o wojnę. Wojna toczyła się za wysokim lasem, a może za miasteczkiem. Wiadomo było, że jest, ale żaden z nas jeszcze jej nie widział, mimo to sprawiła, że ta niedziela okazała się przełomem na skalę nieprzewidywalną nawet przez dorosłych.

Wyprawy do kościoła były przez nas lubiane nie tylko z powodu odświętnych ubrań. Tam istniał inny świat, a przy tym mogliśmy się przyglądać księdzu, który był ciekawym, a nawet niezwykłym zjawiskiem. Małą intrygową czarna suknia, którą nosił, ale zdecydowanie bardziej interesowały ją bujne, kręcone włosy, ponieważ u nikogo ze znanych jej osób takich nie widziała. Natomiast Leszek był przekonany, że ksiądz to ktoś, kto potrafi przebywać wśród ludzi, ale także wśród duchów, co bardzo mu imponowało, tak bardzo, że od czasu do czasu miewał ochotę zapytać, jak się to robi. Któregoś dnia uznał jednak, że pytać nie będzie, bo ciągle jeszcze duchów się boi, ale obiecał nam, że jak podrośnie, też się tego nauczy.

Dla mnie ksiądz Deres był osobą po części tajemniczą, po części podejrzaną. Rodzice uczyli, że za kościelną bramą jest miejsce święte. Uważałem, że coś z prawdy w tym jest, ponieważ wszyscy, szczególnie dorośli, po jej przekroczeniu zmieniali się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I to, moim zdaniem, było w porządku. – Bo przecież – myślałem sobie, przyglądając się malowidłom na wąskich, podobnych do wieka trumien deskach – w obecności tych ciemnych obrazów, z których patrzą jacyś może ludzie, a może naprawdę święci, dziwnie pachnie dym, Broniek żarliwie się modli, a stara pani Zięba nie burczy na wszystkich, lecz uprzejmie się odkłania i śpiewa. – Z tych wszystkich powodów nie mogło być inaczej, a na dodatek zazwyczaj wierzyłem rodzicom. – Tak, coś z tym świętym miejscem musi być! – przekonywałem siebie. Było jednak małe „ale”, którego źródłem był ksiądz Deres.

– No bo, czy jest w porządku – główko-

wałem nieraz – żeby bądź co bądź gospodarz świętego miejsca zupełnie do niego nie pasował? Przecież Deres nie różnił się niczym od innych ludzi ze wsi, a powinien, i do tego: poruszał się zbyt szybko, śpiewał za głośno i pozwalał Małej na każdej mszy bez powodu rozsypywać, gdzie jej się tylko zamarzy, przyniesione w koszyczku kwiatki. Na dodatek czasami, po zakończonej uroczystości, na kościelnym dziedzińcu opowiadał dzieciom różne śmieszne historyjki, a nawet zachęcał do psikusów. Wprawdzie nigdy mu się wygłupianie z dziećmi nie udawało, ale to nie jego zasługa tylko Leszka, który w kółko pytał, co ksiądz mówi Bogu i dlaczego zawsze mówi to samo, i wciąż powtarzał, że on też tak chce. Nieraz chciałem mu powiedzieć, że jest głupi, bo dobry znajomy Boga ma prawo mówić językiem Boga, tylko nie byłem pewien, czy Deres na pewno jest jego dobrym znajomym.

Pamięć przesyppowała wspomnienia, zachowując pozory chronologii. Pojawił się jakiś dom z rosnącą na dachu młodą brzoźką i obiad jedzony w towarzystwie splątanych torów kolejowych. Przed oczami mignął obrazek ruin stacji w Toruniu, a później wiejska szkoła, wreszcie Gdańsk, w którym ojciec odnalazł Kostka, mamy stryja. Nigdy wcześniej nawet o nim nie słyszałem, a tymczasem to on, prosty szkolny dozorca, nadał kierunek memu życiu. Dzięki niemu i szkolnemu koledze – Karolowi dobrnąłem do matury.

Plaże. Należały do nas – młodych, pięknych niczym greccy bogowie. Jednego z letnich dni Leszek gdzieś się zapodział. Wrócił z oranżadą i szturchając mnie, lekkim ruchem głowy wskazał grajdołek pod skarparą.

– No co? – zapytałem.

Leszek, podając mi butelkę, pokręcił głową. – Ale ty jesteś ślepy!

Na materacu siedziała dziewczyna o śniadej cerze i czarnych, błyszczących w słońcu włosach. Obserwowała mnie. Gdy zacząłem się jej przyglądać, któryś z chłopców krzyknął: – Leszek, uważaj! Chyba brat chce ci zabrać dziewczynę.

Miała na imię Ewa. Było w niej coś tajemniczego, niezwykłego. Karnacja i włosy charakterystyczne dla ludów Azji nie pasowały do reszty. Twarz o łagodnych rysach, ufne spojrzenie pięknych oczu, miękkie, spowolnione ruchy podpowiadały, że jest stąd. Gdy podszedłem do niej, wstała i bez słowa powędrowała ze mną brzegiem morza. Przy rozstaniu zapytałem, czy jutro znów się zobaczymy.

– Tak – odpowiedziała cicho i wolno odeszła w stronę rodziców, z którymi przychodziła na plażę. Spotykaliśmy się co dzień, aż do jej wyjazdu. Przy pożegnaniu poinformowała, że wraca do Krakowa. I to był kolejny wyznacznik mego życia.

Rytmiczny stukot kół pociągu już po nie-

całej godzinie uspił większość pasażerów. Najdłużej wierciła się jedna z kobiet, lecz wraz z gęstniejącym mrokiem ona także uległa stalowej kołysance. W przedziale zapadła cisza i bezruch. Byłem przysłonięty połą płaszczka i udawałem śpiącego. Po pewnym czasie otworzyłem oczy i spojrzałem w okno. Za szybą migały pola, na których wciąż jeszcze można było odróżnić zagony zbóż od połaci buraków czy kukurydzy, ponieważ słońce, wpadając za horyzont, zostawiło czerwoną poświatę, a wraz z nią resztkę gasnącego światła. Owa połyskująca czerwień, przeslaniana pasmem ciemnych chmur, skupiła na sobie moją uwagę. Patrzyłem, a gdy nastąpiła noc, zorientowałem się, że nie obserwuję nieba, że wywedrowałem gdzieś równie daleko jak słońce, w nieznane. Wsiadając do pociągu, wyruszyłem w podróż, na końcu której był nie tylko Kraków, uniwersytet i Ewa. Miałem pewność, że odbywam podróż w nowe życie. Wiedziałem, że właśnie teraz rozpoczynam wędrówkę własną drogą i że stałem się panem każdego słowa, czynu i kroku. Świadomość tego faktu nie wywołała we mnie lęku, wręcz przeciwnie, byłem zadowolony i podniecony.

Jeszcze w pociągu obiecałem sobie, że o pobycie w Krakowie powiem Ewie po zdanych egzaminach. Wierzyłem, że zdam i że zostanę przyjęty. Miałem przecież rekomendację partii i ZMP oraz informację, że starających się na psychologię powinno być niewiele. Obietnicy danej sobie nie dotrzymałem, już pierwszego dnia kupiłem kwiaty i zjawiłem się u niej.

Dom, do którego wszedłem, bardzo mi zaimponował. Hol, szeroki korytarz, schody na piętro, duży, przestronny pokój pełen zieleni tej wewnątrz i tej z sadu wiskającej się przez otwarte okna. Całości dopełniała cisza oraz ciepła, rodzinna atmosfera pełna wzajemnej uprzejmości i delikatnych uśmiechów. Chyba wtedy pomyślałem, że chcę być częścią tego domu.

Byłem przejęty pobycem w Krakowie i sympatycznymi wizytami u Ewy, może dlatego zdawane egzaminy nie wryły mi się w pamięć. Sądziłem, że wypadłem dobrze. Natomiast Ewa czekała na wynik z niecierpliwością i to ona znalazła mnie na liście. – Jesteś przyjęty! – krzyknęła. – Cudownie, moje gratulacje! No, a teraz możemy jechać do Ciechocinka.

Po egzaminach wracałem na Wybrzeże niechętnie. Ten powrót nieźle pamiętam, bo wtedy rozważyłem zerwanie z Ewą, a nadto był we mnie bunt, bo chciałem natychmiast zanurzyć się w nowym życiu i dlatego, wracając, czułem się jak idący na bal królewicz, któremu nakazano paradować w starych trzewikach. Fakt, że zostałem studentem, bardzo szybko przestał mnie emocjonować. Wyznaczony cel osiągnąłem, to wszystko. Nareszcie mogłem rozpocząć wakacje. Myślałem o nich i o Ewie i byłem na nią zły.